Cena 50 gr

BŁYSKAWICA

Cena 50 gr

MIESIĘCZNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU-SZOPIENICACH GÓRNY ŚLĄSK

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . zł 5.—	Roździeń-Szopienice	cała strona zł 20,—
półroczna . zł 2.50	ulica 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony zł 10.—
kwartalna . zł 1.50		ćwiartka zł 5. –

Nr. 16. Roździeń-Szopienice, marzec 1931 r. Rok III.

T R E Ś Ć:



Cena 50 gr

BŁYSKAWICA

Cena 50 gr

MIESIĘCZNIK UCZENIC i UCZNIÓW KOMUNALNEGO GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU-SZOPIENICACH GÓRNY ŚLĄSK

PRENUMERATA:	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna . . zł 5.—	Roździeń-Szopienice	cała strona zł 20.—
półroczna . zł 2.50	ulica 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony zł 10.—
kwartalna . zł 1.50		ćwiartka zł 5. -

Nr. 16. Roździeń-Szopienice, marzec 1931 r. **Rok III.**

20 marca 1921 roku!

20 marca 1931 roku mija dziecięć lat od chwili gdy lud śląski zadecydował o połączeniu G. Śląska z Macierzą, Śląska, który po 150 letniej niewoli pruskiej, a poprzednio habsburskiej znów powrócił na łono swej matki Polski, by się pod jej opieką rozwijać i rozszerzać.

Niecały jednak Śląsk połączył się z Polską poważna jeszcze bowiem część jego z rdzennie polską ludnością, leży w obszarze Rzeszy Niemieckiej. Jak wiemy z gazet, to i tam nietylko nie zamiera polskość, ale owszem, mocno się rozwija.

Życzeniem więc nas wszystkich, Ślązaków, powinno być, żebyśmy się wkrótce połączyli z braćmi z nad Odry, tworząc i pracując razem z całą Ojczyzną dla większej Jej chwały.

Kiedy więc w tym miesiącu dziesiąta rocznica plebiscytu przypada, należy się nad jego istotą i przyczynami zastanowić.



Dnia 10 stycznia 1920 roku ratyfikowano Traktat Pokojowy, który tem samem wszedł w życie. Wskutek tego mogła rozpocząć swą działalność Komisja Miedzysojusznicza dla Górnego Śląska. Pierwszym jej czynem było powołanie do życia **Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego w Bytomiu.** Komisarzem został mianowany poseł do Reichstagu pan Wojciech Korfanty, który następnie wydał szereg odezw. W jednej z pierwszych czytamy, że władzę na Górnym Śląsku obejmuje Komisja Międzysojusznica z p. generałem Le Rondem na czele. Wojska sojusznicze zajmują Górny Śląsk, aby utrzymać ład i porządek. Według postanowień wersalskiego traktatu mieszkańcy Górnego Śląska pod opieką władz i wojsk koalicyjnych, sami mogą stanowić o tem, czy w przyszłości chcą być złączeni z wolną i ludową Polską, czy też nadal przynależeć do Niemiec, być niewolnikiem brutalnego pruskiego prześladowcy.

Pierwsze miesiące rządów Komisji minęły we względnym spokoju, były bowiem poświęcone podstawowym pracom organizacyjnym. Z początkiem maja sytuacja poczęła się zaostrzać. W niektórych miejscowościach zaczął się bunt Niemców przeciw rodzącej się polszczyźnie, ale bohaterzy śląscy wnet stłumili wszystkie rozruchy.

Dalszym stopniem rozwoju było uchwalenie przez Sejm polski autonomji Śląska w dniu 15 lipca 1920 r.

Projekt owej autonomji został opracowany przez Komisarjat plebiscytowy, a po przedstawieniu go Sejmowi polskiemu, przyprzyjęto go tam życzliwie i zatwierdzono

Drugie powstanie położyło kres rozmyślaniom nad wyznaczeniem plebiscytu na dzień 20 II 1921 r. ustalono datę głosowania ludowego na Górnym Śląsku, na dzień **20 marca 1921 r.**

Plebiscyt więc jako taki, to oddanie losu Górnego Śląska decyzji jego mieszkańców.

* * *

Wynik głosowania był taki, że przeszło $^2/_3$ całego terenu plebiscytowego oświadczyło się za Polską.

Ze względu na brak oficjalnego zestawienia ilości głosów, oddanych w poszczególnych gminach, nie przeliczono osobno, jaka większość gmin, w większości głosów swych rzeczywistych mieszkańców, (bez głosujących emigrantów!) oświadczyło się za Polską. Nie ulega jednakże wątpliwości, że plebiscyt bez emigrantów musiałby dać wyniki zupełnie inne, niż z ich udziałem.

Mimo wszystko w porównaniu ze spisem ludności i wyborami komunalnemi, które stwierdziły jednolity blok o olbrzymiej przewadze ludności polskiej na całym obszarze plebiscytu; wyniki jego były rażąco niskie. Wystarczy tylko podać, że powiat Kluczborski wykazuje 4% głosow za Polską przy plebiscycie, gdy najniższy znany procent tamtejszych Polaków według źródeł niemieckich wynosił 47%!

Podobny spadek procentu Polaków widzimy jeszcze w powiecie Olesińskim, Kozielskim, Opolskim oraz Strzeleckim, które to powiaty zostały przyłączone do Rzeszy Niemieckiej.

Dowody więc te stwierdzają że procenty głosów oddanych za Polskę, przedstawiają tylko drobny ułamek procentu Polaków tych obszarów.

Sytuacja po plebiscycie nie przedstawiała się bardzo korzystnie. Na podstawie jego wyniku miała Komisja Międzysojusznicza, w skład której wchodziła Francja, Włochy i Anglja, opracować raport w sprawie przyszłej granicy polsko-niemieckiej.

Wśród tych obrad minęły trzy miesiące. Wynikiem ich było postanowienie, by Polsce przydzielić Pszczynę, Rybnik oraz kilka wiosek powiatu Katowickiego, to znaczy że Katowice, które wykazały ogromny procent głosów niemieckich, jak zresztą i inne większe skupienia ludności, miały zostać przy Rzeszy.

Wiadomość o tem postanowieniu wywołała na Śląsku głębokie wrażenie. 2 maja stanęły wszystkie kopalnie i większość hut. Następnie zmienił się strajk generalny na na ruch zbrojny.

W nocy z **2 na 3 maja** ludność polska na całym obszarze plebiscytowym chwyciła za broń i w ciągu 3 i 4 maja zajęła teren aż po Gliwice, z którego jednak dla uniknięcia starć z Francuzami i Wlochami musiała ustąpić.

* * *

Ludność Górnego Śląska w przeciągu ostatnich dwu lat poraz trzeci chwyciła za broń. Stało się rzeczą jasną, iż tego ludu nie można poddać już z powrotem pod

panowauie niemieckie, jeżeli się przemysł górnośląski niechce oddać zupełnemu zniszczeniu.

Komisja Międzysojusznicza, widząc co się dzieje rozkazała 5 lipca złożyć obu stronom broń i zajęła się administracją wewnętrzną.

Jako najwyższą władzę ustanowiono Wydział Wykonawczy z posłem Wojciechem Korfantym na czele. Władza ta miała nazwę **„Naczelna władza na Górnym Śląsku“**, a siedzibą jej były **Szopienice!!!**

Po kilkunastu naradach i zjazdach Komisja Międzysojusznicza orzekła, że „począwszy od dnia 17 czerwca a skończywszy 10 lipca 1922 należy załatwić wszelkie czynności, mające na celu oddanie obszarów“.

Dnia 20 czerwca 1922 r. wkroczyło wojsko polskie na Górny Śląsk, pod dowództwem generała broni Stanisława Szeptyckiego. Wojsko to obsadziło miasto i powiat Katowice, Królewską Hutę, Tarnowskie Góry, Lubliniec, Pszczynę, Mikołów i powiat Rybnicki w czasie od 20 czerwca do 4 lipca.

Dnia 16 lipca 1922 roku odbyła się w Katowicach uroczystość zjednoczenia Górnego Śląska z Polską.

Frania Waldemar Kl. VIII.

BIBLJOGRAFJA:
Dr. Włodzimierz Dąbrowski „Górny Śląsk w walce o zjednoczenie z Polską“.
Inż. K. Firich „Polskość Górnego Śląska, a wyniki plebiscytu“.

Po dziesięciu latach.

(Ciąg dalszy)

Jeszce nie doszli do kościoła, gdy z prawobocznej przecznicy jęła się wyciskać długa glista pochodu.

Gimnazjum szło. Miarowy, równy krok, Jakby się z bruku darło skry! Kto widział, musiał uczuć dreszcz. Duma się niosła, biła z lic. Młodość szła, przyszłość szła. Człek dźwigał się, krzepnął na duchu, ku słońcu tężył wzrok.

Na czele komendant, konno, sam. W mundurze, z szarfą przez ramię, z szpadą błyszczącą, dobytą, na władzy swojej znak. Mina hetmańska — z ósmej ktoś.

A za nim, w tyle hufce dwa. Męski szedł z bronią, z lasem luf. Na baczność rypali sprężeni. Żeński szedł drugi, oczy rwał. Szare, polowe mundury. Na rekord dobrane pannice. Jakby w paradę dzielnie szły.

Już im orkiestra marsza gra. Tambourmajor, też w szarfie, pałką do taktu przywodzi. Burza mosiężnych dźwięków, nad całym pochodem wiejąca, tak zrywa nogi do marszu, że choćby trupie były, z mar by się zwlokły i szły. Bęben wali jak dzialo, czinele, jak dzwon. Gubią się gdzieś ciche flety, darmo szaleństwo skrzydłówek łagodzą fujarne klarnety, rechocą skrzekliwie waltornie, es-trąby, b-trąby, puzony. Zastęknie gdzieś basem helikon. Z burzy gromami dzwoniącej, deszcz drobny wartko opada: biją pałeczki dobosza.

Dobosz mały zapałem kolegów przerasta: Jego bębenek ma ton triumfalny. Wszystkich nań już zwracają się oczy. Wszak to Zbyszek Gucwa — uczeń trzeciej klasy!

Za orkiestrą trzech znowu szarfiarzy. Niosą sztandar, święte godło Zakładu, wspa-

niały dar miasta. W słońcu się palą jego złote godła, wiosną łopocze ruń jego atłasu. Za sztandarem –– tu serca komitetu walą już kilofem! — Dyrekcja, Profesorzy i — dawni Maturzyści — Koledzy!

Ksiądz Dyrektor nic się prawie nie zmienił. Tylko w miejsce czarnej miał fioletową koloratkę. Wraz z Księdzem szli Profesorowie, liczniejsi niż zwykle, bo na dzisiejszą uroczystość zjechali się wszyscy, którzy kiedykolwiek w Gimnazjum roździeńskiem nauczali. Nad wszystkimi kołysała się wysoka postać p. Zawadzkiego, obok którego kroczył mocno już szpakowaty, lecz jeszcze lepiej wyglądający p. dr. Gołba z żoną, ongiś p. Stachurska. Srebrnych nitek przybyło też panom Kamińskiemu i Gucwie, nie miał ich jednak p. Wiśniewski, który wyglądał jeszcze groźniej, niż dawniej. Pokaźną grupę stanowiły panie, które byłym wychowankom znane były zawsze pod nazwiskami, jakie miały, gdy uczyły w szkole, więc p. Cybulska, p. Podkulska, p. Tułecka, p. Bakówna, p. Lubowiecka, p. Jandówna i inne. Z dalszych szeregów pamiętali maturzyści panów Klaklę, Kupkę i Reymana, który nadążał szybkim, drobnym krokiem. P. Wasylewski szedł osobno, widocznie zajęty swojemi myślami.

Za gronem profesorów waliła Pierwsza Matura.

Na ten widok Komitet przestał być Komitetem. Pani Dąbrówka, ujrzawszy tam swoją Jadzię, skoczyła ku niej z krzykiem, który na szczęście zgłuszyła orkiestra. Frania poczuł serce w samej grdyce i wykrztusiwszy tylko jednego „pierona„, rzucił się z oczyma na wierzchu między dawne Koleżanki Dr. Holeczek rozbłysnął na widok bankiera Sztorchana. Mjr. Dziurowicz też zrobił minę słoneczną a takim głazom, jak Hostyński, zwłaszcza Skoczylas, wilgoć skropiła się pod powiekami. Zapłakali.

Wszyscy złączyli się razem. Nie było czasu na mazgajstwo. Musieli iść w marszu. Czwórkami. Jakgdyby dziesięć lat. Ktoś gumą wymazał z ich życia. Znów była ósmą klasą. Znów byli, jak dawniej, uczniami. Frania dygotał jak w febrze. Samo koleżeństwo! bez żadnych dodatków rodzinnych! Nie było duplikatu pana Ypsylona! Chyba, że szli gdzieś osobno, nie w grupie Pierwszej Matury!

Wstyd się było na ulicy cieszyć. Wszak z tyłu kroczyli następcy, mundurowy kilometr młodzieży. Musiał wszystko Frania zostawić na obiad, na „Englantynę“, na bal! A z Franią wszyscy koledzy cały zastęp Pierwszej Matury!

Na pięknym placu przed dworcem konny komendant pochodu rozsypał młodzież w zwarte, w bezruchu zastygłe kolumny. Jakby na świetnej rewji, lub przed nabożeństwem polowem!

Jasny, wspaniały gmach nowego dworca powiewał barwnym rojem sztandarów. Tłumy miejscowej ludności ściągały na niezwykłe widowisko.

W luksusowym salonie recepcyjnym dworca zebrała się w komplecie zacna Rada miejska z panem burmistrzem na czele. Ojcowie miasta, którzy tyle zabiegów ponieśli, fundusze na budowę z świata całego zebrali, byle posag piękny do upaństwowienia Zakładu przyłożyć — czekali tutaj galowi i dumni, bo wielkiego dzieła dokonali, na powitanie pana Ministra.

Hufiec szkolny wyciągnął się z bronią u nogi w równym dwuszeregu na pierw-

szym peronie— „opolskim". Tworzył kompanję honorową. Tuż obok ustawiła się orkiestra. Dyrektor z Profesorami wysunął się na plan pierwszy. Oni pierwsi mieli witać Władzę.

Punktualnie o 9·30 jękneły przeciągłym gwizdem syreny i z pod hutniczego wiaduktu wypełzło szybko rosnące, ciemne cielsko pociągu. Ledwo żelazna lawina z łoskotem zwaliła się przed peron, huknął wraz bęben i czinel. W pląs ruszył dostojny Dąbrowskiego mazur.

Prezentuj broń! — szczęknęła ostatnia komenda.

Równy płot karabinów wyrósł przed prostą linją hufca.

Pan Minister z odkrytą głową wysiadł z salonowego wagonu. Tuż za nim Pan Wojewoda, kilku Naczelników Wydziałów i wszyscy Wizytatorowie śląskiego okręgu szkolnego. Musiał jednak Pan Minister z wielką trudnością trzymać się ministerjalnie, skoro znalazł się nagle w gronie dawnych kolegów. Czuł memento w postaci całej zgrai fotografów i operatorów filmowych, która grzmocąc się zaciekle o dostęp, utrwalała skwapliwie każde drgnienie jego twarzy. Przeszedł tędy frontem kompanji honorowej do salonu dworca.

Zachrząkali panowie radni i wypięli się uroczyście. Pan burmistrz, zerkając do wnętrza cylindra, uderzył w wielki dzwon patosu i uroczystej pompy.

Podziękował krótko Pan Minister.

Następnie wyszedł wraz z świtą przed dworzec.

Na błysk szpady komenderującego ośmaka plac cały huknął:

— Niech żyje!!!

Zabrzękły szyby, zatrzęsły się mury od krzyku młodych piersi:

Skłonił się Pan Minister i swoim, jak dawniej, drygliwym, choć nieco bardziej powłóczystym krokiem podszedł do czekającego powozu, zaprzężonego w czwórkę białych koni. Ledwo zdążył w nim usiąść z Panem Wojewodą, gdy grupa byłych maturzystów wbrew wszelkiej etykiecie, jak szarańcze, opadła go zewsząd.

— Bonjur, Monsieur le Ministre! — gruchnęło, jakby z armaty.

I naraz Pan Minister zapomniał o ministerstwie: Znów się stał profesorem, którego drżące ramiona wybiegły ku wychowankom.

— Niechże was Pan Bóg ma w swojej świętej opiece! — zawołał dawnym zwyczajem.

Wybuchła wrzawa trąb, bębna, czineli. W gromki takt marsza ruszył pochód w stronę kościoła. Gdzieś, ze słonecznych błękitów zaczął padać wonny, kwietny śnieg. Zamieć białych płatków sypnęła się pełną garścią na dostojny orszak. Zdumione oczy porwały się w górę. Czy słońce śniegiem kroju? Czy blaski źrenicom się roją?

W górze, wespół z ptasim świergotem niesie się hejnał motorów. Warczą trzy awionetki, z terasy szkolnej wybiegłe. Koziołkują wesoło w błękitach, hymn grają jesiennej pogodzie i tej uroczystości niezwykłej. Nad wieżą kościoła kołują. Nie ocenia ich jednak wprawne oko pilota Frani, już kogoś innego wpromienione, komuś innemu zaprzedane.

W kościele organ, światło, śpiew i smugi dymów w poprzek witraży, rozwieszonych. Pan Minister przed wielkim ołtarzem

na dostojnym biskupim fotelu, ustawionym na cennym kobiercu. Świta siedzi za jego plecami. Sam ksiądz faroż śpiewa nabożeństwo, dwóch wikarych asystuje.

A z wyżyn ambony młóci ludzkie serca mocne i twarde, jak cep, słowo księdza prefekta.

Potem „Te Deum laudamus“!

Nakoniec „Boże coś Polskę“....

Organy wspiera orkiestra, orkiestrę zaś setk płuc młodych i gardzieli, szeroko rozwartych. Mury kościelne dostają febry, dzwonią witraże, tynk spada na ziemię, struchlały. Dziw, że strop z góry na głowy jeszcze nie runął.

Potem defilada przed Panem Ministrem i marsz triumfalny do — nowego gmachu.

Przed gmachem był już ksiądz faroż i dużo innych księży. I organista z wielką kropielnicą. Obok nich pan burmistrz i zacna rada miejska. Bohaterowie chwili. Wnioskodawcy wielkiego dzieła!

Czemś są jednak zakłopotani, coś ich niepokoi, kogoś szukają.

— Jest? — pyta burmistrz swojego rendanta.

— Całe miasto przeszukane, nigdzie znaleść nie można.

— Musi być!. Uchwała brzmi wyraźnie, że poświęcenie może się tylko odbyć przy przedstawicielach mniejszości.

— Od wygaśnięcia konwencji genewskiej niema już żadnej mniejszości.

— Gdzież się podziała, nikt nie emigrował.

— Ale się stali wszyscy Polakami!

— Bo byli nimi przedtem! — wmieszał się radca miejski Pieczorek, wybrany z listy niemieckiej.

— Albo są Polakami niemieckiego pochodzenia! dodał radca Prokopsen.

Burmistrz-legalista kłopotał się jeszcze, czy poświęcenie będzie ważne, lecz młodzież już się ustawiła w czworobok, hufiec męski dał salwę w powietrze, ksiądz faroż machnął kropidłem, a Pan Minister przeciął nożycami wstęgę.

Następnie dokonał odsłonięcia pamiątkowej tablicy w głównym hallu. Uroczystą ciszę przedarł nagle krzyk pijacki. To p. Krupniok, naczelnik służby gimnazjalnej, który od rana rozweselał swoją duszę, ryknął z nadmiaru radości przed drzwiami swojej kancelarji. Ktoś jednak uciszył go z miejsca, nim Pan Minister odwrócił zadziwione oczy. Byłby coś może powiedział, lecz w tejże chwili nadeszła ku niemu uczenica klasy drugiej, Maryla Gołbianka, i w imieniu młodzieży szkolnej wręczyła mu wspaniały bukiet.

Przemówień żadnych nie było. Wejść miały w skład akademji, która za chwilę zaczynała się w auli. Tam też podążyli goście średnio dostojni i młodzież. Pan Minister udał się ze świtą do apartamentów dyrektorskich, a pierwsi Maturzyści do klasy ósmej.

Tu się dopiero mogli swobodnie przywitać ze sobą stwierdzić zmiany życiowe, podzielić się tysiącem fascynujących nowin i niemniej ciekawych plotek. Na swoje dawne koleżeństwo mogli spojrzeć z wyżyn dziesięcioletniego doświadczenia. Gadali, jak maszyny, śmiali się, krzyczeli jak szaleni. Najbardziej rozmaślił się Frania,

który wszystkie smętki swego chmurnego żywota wylewał przed współczującą p. Meierówną. Skoczylas z radcą Hostyńskim musieli bronić niepodległości klasy przed p. Ypsylonem, który za swoją Rucią chciał tu wtargnąć przemocą i całe koleżeństwo oprzeć na swoich zasadach.

W serdeczny zgiełk wgryzł się ostry dzwonek.

Do klasy weszli profesorowie, ci z przed lat 10!

Uśmiechnięci przyjaźnią, odmłodzeni uśmiechem, jakże inni dzisiaj, niż wtedy! Poprostu — starsi koledzy!

Oczy wszystkich pobiegły ku drzwiom. Miał wejść Pan Minister.

Ale nie było Ministra. Wszedł Wychowawca.

Bonjur, Mosieur! — zerwał się z wszystkich ławek. Chciał coś przemówić, lecz wzruszenia zdusiły mu gardło.

Jął czytać listę uczniów:

— Czoppówna Paulina!

— Jestem! — podniosła się wywołana, referentka Magistratu miasta Roździeń-Szopienice.

— Dyjówna Regina!

— Jest! Nauczycielka w Czeladzi.

— Dziurowicz Ryszard!

— Major W. P.; attaché... recytował pół tuzina godności.

— Frania Waldemar!

— Spadł z nieba. — obudził salwę śmiechu — Pilot prywatny zakładów inżyżyniera Skoczylasa. Całą karjerę marnie przefanzolił,

— Dostaniesz, panie pilocie, dwadzieścia pięć. — poskromił jego język Wychowawca — Gemzianka Gertruda.

— Jest! Wizytatorka W. F. i P. W. kobiet na Województwo Śląskie.

— Gil Bolesław!

— Jestem, jestem!... urwał znienacka.

— Zawód?

— To jest... przeszkodziło mi wojsko... egzamina...

— Zatem: wieczny akademik! — Gujówna Jadwiga.

— Obecnie doktorowa Z.! — zaszumiała gronostajami przeraźliwie strojna dama.

— Czyli zawód: żona! — Holeczek Józef!

— Doktór praw, wiceprokurator...

— Homajerówna Zofja!

— Kapitanowa Br-a!

— Mówi się: żona! — Hostyński Zbysław!

— Radca poselstwa R. P., kawaler orderu...

— To już nie zawód! — Jęczmykówna Helena!

— Redaktorka „Bluszczu". Pseudonim „Tirli-tirli".

— A nazwisko obecne?

— Nie uważam tego za zawód!

— Dwadzieścia pięć! — Karbowska Wiesława!

— Dzisiaj L....o..a!

— Żona! — Krawczyńska Dąbrówka!

— X-owa!

X — to nie nazwisko, ale — niewiadoma!

— X — to marzenie, które w życiu stało przy mnie blisko. Pozatem niezwykłam się spowiadać.

Wychowawca uderzył dziennikiem o stół. Cisza, głodna senzacji, powiała po po klasie.

— Krzywańska Eugenja! — zaczął sucho po chwili.

— D...owa!

— Lorkówna Wanda!

— Nieobecna!

— ??

— Podobno uciekła do Brazylji! — ktoś stęknął posępnie.

— Łykowska Natalja!

— H...owska!

— Meierówna Danuta!

— Farmacentka!

— W najbliższym czasie zmiana zawodu! — ktoś zauważył z pod okna.

— Mleczkówna Marja!

— Nieobecna!

— ??

— Jest Siostrą Miłosierdzia, a Panu Profesorowi widok zakonnicy przynosi nieszczęście...

Niech ją Pan Bóg trzyma w świętej...

— Michlowiclówna Ruta!.. a! pani Ypsylon. Już poznałem małżonka! — oznajmił sam Wychowawca — Paluchówna Cecylja.

— F... pińska, prezeska Pań Wincentek!

— Poradówna Henryka!

— W... ska!

Pan Wychowawca ukłonił się specjalnie.

— Skoczylas Leon!

— Genjusz! — wrzasnęła cała klasa, nie dopuszczając go do głosu — On nas przeprowadził przez maturę. On wybudował ten gmach... On... On... On...

Po 5-minutowej przerwie Wychowawca znów wrócił do głosu.

— Stankówna Wanda!

— Artystka filmowa z Hollywood! Mis Polonia z 1935 r.

Sternfeldówna Sonja.

— M... owa, dentystka!...

Ktoś zakaszlał raz, drugi i trzeci, Potem z pod ławek wyleciał głos identyczny z głosem Wychowawcy.

— Dwadzieścia pięć! — krzyknął Wychowawca.

— Dwadzieścia pięć! — odstrzeliła ławka.

— Za co?

— Za to, że przed S było R! — podniosła się opuszczona w czytaniu, gwiazda teatrów rewjowych, Stacha Rączkówna.

Huragan rozpętał się w klasie. Walono brawo, jakby na premjerze... Nikt już nikogo nie słyszał. Nie można było dobić do końca. Zdenerwowany Wychowawca pominął nauczycielkę rysunków Smoleniównę i chciał opuścić całą resztę. Ledwo zdołano zanotować obecność bankiera Sztorchana i Lody Zychówny (pani P... czyńskiej!), oraz uczczono wiwatami wynalazcę trwałego pokoju, esperantystę Trefona.

Wśród piekielnego hałasu zrezygnował Wychowawca z odczytu o Romain Rollandzie i wezwał wszystkich, by udali się na akademję.

Porwali go na ręce i ponieśli. W auli jednak nie było już wychowawcy. Miejsce jego zajął Pan Minister.

Ale Frania ze skóry chciał wyskoczyć.

Dajcie obiad, Englantynę i bal! — szarpał go skowyt nieprzepartej tęsknoty..

c. d. n.

Willy, kl. VII.

Z teki Koła Krajoznawczego.

Brzęczkowice.

W południowo-wschodniej części pow. katowickiego na prawym brzegu Przemszy, przy zlewie Białej i Czarnej u brzegu torów kolejowych w kierunku Krakowa a Oświęcima, tuż pod Mysłowicami na pograniczu Zagłębia Śląskiego, Krakowskiego, a Dąbrowskiego leży gmina Brzęczkowice-Słupna. Położenie jej wyżynne z falowane o trzech większych kotlinach, w których rozmieszczone były dawne osiedla w północno-zachodniej i południowo-wschodniej swej części jest lesiste, zaś środkowy pas, ciągnący się od północnego wschodu ku południowemu zachodowi rozszczepiony klinem lasu od strony Brzezinki jest polisty, o glebie dość urodzajnej o podłożu węglowem. Liczy około 2800 mieszkańców, z których około 1550 przypada na Brzęczkowice, a 1250 na Słupną.

Brzęczkowice początkami swojemi sięgają odległej przeszłości. Pierwotnie należały do Książąt Sułkowskich posiadających letni zameczek na niewielkim wzniesieniu nad Przemszą w Słupnej, u stóp którego rozsiadły się domki służby folwarcznej, dające początek dzisiejszej skupionej kolonji Słupna, zamieszkałej w większej ilości przez kolejarzy i innych urzędników. Same Brzęczkowice są osadą daleko starszą. Początek dały jej osiedla czysto rolnicze rozrzucone w dwu kotlinach wśród lasów powstałe na prawie pańszczyźnianem. Obok rolnictwa dawni mieszkańcy zajmowali się bartnictwem, a barcie ich ówczesnym zwyczajem były umieszczane w żywych drzewach leśnych. Woskiem i miodem płacili oni daniny swym panom. Na każdym kroku było słychać brzęk tych niestrudzonych pracownic i dlatego też nadano tej osadzie nazwę Brzęczkowice. Mimo przynależności państwowej do Austrji a następnie do Prus, Brzęczkowice łącznie z Mysłowicami, z któremi tworzyły parafję, pod względem kościelnym należały do djecezji krakowskiej, czego pamiątką jest do dziś dnia istniejąca kapliczka, wybudowana przy starej drodze przez biskupostwo krakowskie, jako znak graniczny jego terytorjum. Należność ta spowodowała wybitne ciążenie ludności ku macierzy już w czasie dawnych walk wolnościowych Polski, czego dowodem jest udział Brzęczkowiczan w zbrojnem powstaniu Sułkowskiego przeciw Prusom.

Po wypadku tego powstania z powodu nałożonych kontrybucji przez rząd pruski rodzina Sułkowskich zubożała, a germanizacja, która zakradła się później do niej wykreśliła ją z widowni dziejowej. Dobra zaś jej dostały się w ręce niemieckiego rodu magnackiego Tille-Winklerów, a w ostatnich latach przeszły na własność „Spółki Giesche i Tille Winkler". Łączność z djecezją krakowską została też zerwana przez osławione rządy Bismarka, który parafję mysłowicką przyłączył do biskupstwa wrocławskiego, od którego to czasu rozpoczęła została germanizacja tutejszej ludności, która jednak okazała się odporną na wszelkie zakusy rządu pruskiego. Widomym tego znakiem jest dzisiejsza wieża Wolności wystawiona ongiś jako pomnik Bismarka przy „Tójkącie byłych trzech cesarzy".

Miłą pamiątką jest skromny, ale nadzwyczaj efektowny pomnik Powstańców ostatnich walk znajdujący się przy głównej drodze wyłożonej kostką granitową.

Obszar granicy zajęty jest w połowie lasami, a w połowie pod uprawę rolną z czego około w $^2/_3$ należy do obszaru dworskiego, a $^1/_3$ drobne gospodarstwa, z których 7 nie przekraczało 6 ha., resztą zaś sięga najwyżej 3 ha. Produktami rolnemi są przeważnie żyto, ziemniaki, o wiele słabiej owies, które nie wystarczają na zaspokojenie potrzeb miejscowych. Paszy dostarczają łąki własne i dzierżawione na obszarze dworskim. Chów bydła i nierogacizny słabo rozwinięty, natomiast więcej jest koni z powodu możności zarobkowania przy rozwożeniu węgla z sąsiednich kopalń. Okok nawozu naturalnego nabywanego na targowicy mysłowickiej stosują rolnicy w większej mierze nawozy sztuczne, jak azotniaki i sole potasowe. Mimo dogodnych warunków wynikających z sąsiedztwa przemysłowego warzywnictwo i sadownictwo, słabo rozwinięte, niezaspakajają potrzeb miejscowych. Istnieje tu jeden tylko ogród handlowy warzywno-kwiatowy p. Klona. Pszczelnictwo, które dało nazwę gminie zupełnie zamarło. Budzi je dopiero nanowo kierownik szkoły p. Wiącek, gorliwy działacz na niwie rolniczo-ogrodniczo-pszczelarskiej, który spowodował powstanie 4 pasiek liczących 20 pni.

Jeszcze przed rokiem 1820 na terenie granicy tutejszej istniała kopalnia węgla i huta cynkowa, które później zostały zwinięte: pierwsza z powodu powstania w sąsiedztwie kopalni lepszego gatunku, a druga — ze względu na nieopłacalność eksploatacji złóż małoprocentowej rudy cynkowej. Dziś brak jest zupełnie przedsiębiorstw przemysłowych, a robotnik tutejszy musi szukać pracy w sąsiednich miejscowościach. Potrzeby ludności zaspakaja 20 sklepów spożywczych, z których tylko 1 jest w rękach żydowskich.

Ludność tutejsza polska z wyjątkiem 3 rodzin niemieckich i 1 żydowskiej zorganizowana jest w Towarzystwa kulturalno-oświatowe, gospodarcze, zawodowe i polityczne. Przedsiębiorstwem handlowem, bardzo szeroko znanem, jest targowica własność miasta Mysłowic zbudowana na terenie Słupny.

Ozdobą miejscowości tutejszej i pięknej okolicy jest olbrzymi stadjon z torem miejscowym urządzonym według najnowszych wymagań. Tak te przedsiębiorstwa jak też piękna okolica i zdrowe powietrze ściąga latem tysiące wycieczkowców i sportowców, co może przemienić Brzęczkowice w miejscowość letniskową.

Ciekawą historję ma też tutejsze szkolnictwo. Już przed rokiem 1820 gmina tutejsza należała nominalnie do szkoły w Mysłowicach. Tam uczęszczała tylko dziatwa ze Słupny. W Brzęczkowicach zaś górnicy przy pomocy Zarządu gwareckiego otwarli dla swych dzieci zimową szkołę prywatną, do której uczęszczało zaledwie 35 dzieci. Z czasem zapisali tu swe dziedzi i rolnicy. W roku 1821 oddzielono Brzęczkowice - Słupnę i Brzezinkę od Mysłowic i otwarto szkołę jednoklasową w Brzęczkowicach. W r. 1870 wydzielono dzieci z Brzezinki i otwarto dla nich szkołę na Laryszu, a w r. 1893 szkoła w Brzęczkowicach otrzymała nowy dzisiejszy budynek, zaś w r. 1894/95 przekształcono na szkołę 5-cio klasową. W roku 1900 podzie-

lono gminę na 2 tereny szkolne t. j. Brzęczkowice i Słupna, które do dziś dnia istnieją jako szkoły 5-cio klasowe.

Od r. 1926 gminę Brzęczkowice—Słupno cechuje silna rozbudowa, która w 2 ostatnich latach dala 40 zupełnie nowych, przeważnie 2 piętrowych budynków i 5 nadbudowań, a w roku bieżącym czynione są przygotowane do dalszej rozbudowy. To przyceyni się do powiększenia liczby mieszkańców, a tem samem dzieci szkolnych, wskutek czego musi nastąpić reorganizacja i rozbudowa szkół miejscowych.

Maryla Wiąckówna
kl. VI.

Jadram się budzi.*

O szafirowe, bezkresne łzy morze!
Pewnie już na twym brzegu
świecą wiosny zorze . . . .
a niepokojone fale w odwiecznym swym biegu
pienią się bielą piany,
liżąc złoto brzegu

Szerokie, słone wód twoich bezdroże
kołysze na swej piersi
rozełkane mewy —
— i ściele pod ich skrzydłami
słone wód swych łany.

I pewnie już rybacy słysząc ptaków śpiewy,
i patrząc na Jadramu strojenie i tany,
czując, że Jadram nieśpi i że wiosna leci
snują się wokół brzegu wiążąc nowe sieci

A na wzgórzach winograd nowe wypuszcza
już pęki
i tamaryszek wije świeżą listków zieleń. . . .
śmieją się umajone oddrzwia w nadbrzeżnym
kościele
i w zieleni już tonie krzyż—Chrystusa—męki.

Może ja jeszcze usłyszę łkanie—Twojej fali
i śpiew srebrzystej mewy co się krzykiem żali?

DODA

*)Jadram nazw. Jugosłowiańska. płd. cz. Andrjatyku.

Odpowiedzi Redakcji.

Autorce „Wychowania fizycznego". Temat ten został już w „Błyskawicy" o wiele poważniej omówiony Nie zamieścimy.

Autorowi wiersza „Z niedawnej przeszłości". Wierszowi brak rytmu. Rymy, pożal się Boże, choć w niektórych miejscach, zastosowane dosyć udolnie, całość nie nadaje się.

Autorowi „Zaklętej czarownicy". Prosimy na przyszłość o rzeczy samodzielne, ta bowiem ma cechy plagjatu. Lepiej napisać coś naiwnego a sam, niż przepisywać rzeczy mądre.

Logogryf z 14-go nr. „Błyskawicy" obudził ogromne zainteresowanie, rozwiązań nadeszło dziewięć, z tego trzy anonimowe, które zostały odrzucone.

Z pozostałych, drogą losowania Kol. Pankówna kl. V otrzymała za najlepsze rozwiązanie 3 pkt.

UWAGA: rozwiązania anonimowe zostają nie uwzględnione.

Rozwiązanie z nr. 15, w następnym numerze.

SPROSTOWANIE. Do nr. 15 „Błyskawicy" zakradły się następujące omyłki: Str. 12, II-ga kolumna 6-ty wiersz od góry ma być 30 gr. nie 80. Pozatem w łamigłówce pod liczbą 1. zamiast szereg grupy ałtajskiej ma być szczep.

WYDAWNICTWO.

Komitet Red.: R. Dziurowicz, Dz. Krawczyńska, i J. Magrysiówna. Dyr. wydawnictwa W. Engelking. Wydawcy: uczenice i uczniowie Kom. Gimn. Koed. w Roździeniu-Szopienicach. Redaktor odpow. i opiekun dr. Kazimierz Gołba.

Druk. „Nakładowa" Będzin, Kościuszki 20, telefon Sosnowiec 12-08.


BIBLIOTHECA
UNIV
CRACOVIENSIS